

Hubert Mazur

Wstęp – miasto jako szansa

Każdy aktywizm miejski bierze się z braku akceptacji dla *status quo*, mówiąc brutalnie – ze zwykłej ludzkiej irytacji. Jest to jednak szybko zużywające się paliwo – łatwo może przerodzić się w gorycz zniechęcenia. Jeśli zatem chcemy osiągnąć prawdziwą zmianę naszej miejskiej rzeczywistości, to potrzebujemy czegoś znacznie bardziej treściwego i pozytywnego. Po to właśnie powstała ta książka.

Optymizm w rozmowie o polskich miastach nie jest modny

Każdy z nas przywykł w kontekście miast do wyłącznie złych wiadomości. Powiedzmy sobie szczerze – ich negatywny obraz w mediach jest zasłużony. Wypadki drogowe, przestępczość, rosnące ceny nieruchomości, gentryfikacja – to tylko początek o wiele dłuższej listy problemów, o których nieustannie słyszymy. Z przekazami tego rodzaju przeplatają się raz na jakiś czas mgliste obietnice inwestycji, które rzekomo mają przynieść lepsze jutro: już za pięć lat powstanie nowa, długo wyczekiwana linia tramwajowa, już na wiosnę remont tej i tej ulicy, już w 2030 roku pozbędziemy się smogu... Tak właśnie żyjemy – mieszkamy w miastach, których nie kochamy, chodzimy wśród budynków, które nie mogą się podobać, poruszamy po ulicach, gdzie nikt nie czuje się bezpiecznie i komfortowo.

Miasta tworzą nie tylko przestrzenie publiczne, ale nie da się ukryć, że gdy mówimy o jakimś mieście „przyjemne”, „ładne”, „ciekawe” to mamy na myśli oczywiście pierwsze wrażenie – perspektywę miejskich ulic, placów i parków. No i właśnie w tym cały szkopuł: nie ma w Polsce ładnych miast, są tylko ładne miejsca. Dlatego właśnie przestrzeń miejska jest też pierwszą sprawą, na której należy się skupić, mając naturalnie w pamięci, że problemy miejskości to także choćby polityka mieszkaniowa, społeczna i wiele innych zagadnień.

Niezbite fakty i dane liczbowe nie napawają optymizmem. Po 1990 roku uwierzyliśmy niestety, że „normalne życie” to takie w stylu mieszkańców Atlanty, nie Kopenhagi, Paryża czy Wiednia. Efektem jest rosnące uzależnienie od samochodów i idące za tym zjawiska – degradacja przestrzeni i suburbanizacja. Statystyki dotyczące większości miast wskazują, że bilans migracji *per saldo* jest w nich ujemny, to znaczy więcej mieszkańców ucieka, niż się do nich wprowadza. Rzut oka na boom budowlany w podkrakowskich i podwarszawskich gminach nie pozostawia wątpliwości, gdzie osiedlają się niedawni mieszkańcy.

Dzieje się tak dlatego, że w subiektywnej ocenie niejednej i niejednego z nas miasto wydaje się po prostu wielkim, nierozwiązywalnym problemem, jest hałaśliwe, drogie, nieprzyjazne dla rodzin z dziećmi. Wielu z nas „postawiło na nim kreskę”, wybierając mit życia na przedmieściach z upragnionym widokiem na las i sarenki (przynajmniej do czasu, gdy w sąsiedztwie nie wyrosną kolejne domy). Zjawisko to budzi zaniepokojenie. Jak znaleźliśmy się w tym miejscu? Co się stało z naszymi miastami?

Łatwo byłoby popaść w przekonanie, że to ostatnie dekady po 1989 roku, a zatem transformacja ustrojowa i społeczna w duchu turbokapitalizmu, doprowadziła miasta Polski do obecnych problemów. Byłaby to jednak naiwność. Kto sięga pamięcią do czasów PRL czy choćby oglądał kultowe komedie Barei, przyzna, że i wówczas równie trudno było o zachwyty miastami. Inna była oczywiście skala problemów czy wręcz ich odcień (szarość kontra współczesna pastelozja).

Błyskawiczny rozwój miast odbywał się w sposób chaotyczny, jakość nowo powstałych miejskich rozwiązań pozostawiała wiele do życzenia, nieraz długo po wzniesieniu bloków w czynie społecznym (czy w inny półpartyzancki sposób) zagospodarowywano obszar pomiędzy nimi. Faktem jest jednak, że w ogóle można było mówić o przestrzeni publicznej jako takiej, zupełnie inaczej niż w przypadku współczesnych grodzonych osiedli.

W swej książce „13 pięter” Filip Springer, mierząc się ze skalą polskiego problemu mieszkaniowego, pokazał także, niejako przy okazji, rzeczywisty obraz polskich miast przed II wojną światową. Luksusowe modernistyczne kamienice są może wizytówką dwudziestolecia, ale stanowią tylko pół – czy wręcz ćwierćprawdę o tym czasie. Poza wąską elitą zdecydowana większość mieszkańców miast żyła od zawsze w warunkach godnych pożałowania¹.

Miasta w Polsce ostatni raz „kwitły” – jeśli można użyć tego słowa – w średniowieczu. Później tylko w pojedynczych przypadkach można mówić o okresach prosperity, bogacenia się i wzrostu znaczenia. Smutna prawda wygląda tak, że nigdy nie zaistniała w Polsce silna kultura miejska, pojawiały się tylko pewne jej przejawy. W porównaniu do Włoch, Francji czy Niemiec niewiele mamy w związku z tym prawdziwie historycznych miast. Dominująca rola szlachty uniemożliwiła rozwój opartej na miastach gospodarki kapitalistycznej, jak to na przykład było u Niemców. Miasta, które „nie współgrały z polską duszą”, a dokładnie ze szlacheckim stylem życia ową „duszę” definiującym, od zawsze były postrzegane krytycznie, a Sarmaci patrzyli na nie wręcz wrogo. Zamiast zachwyty nad fenomenem życia miejskiego, ideałem polskiego stylu bycia była wiejska sielanka. Jak wskazuje prof. Maria Bogucka, „kultura szlachecka, rozwinięta w formie tzw. sarmatyzmu, pogardzała miastem i życiem miejskim [...] Staropolska niechęć do miast wyrastała z dwójakiego rodzaju powodów: estetycznych i etycznych. Warunki życia w mieście wczesnonowożytnym: tłok, ścisk, brak szerszej przestrzeni, ciasnota, brud i smród, wszystko to zrażało

szlachcica przyzwyczajonego do życia blisko natury, wśród rozległych pól, w powietrzu czystym, przepojonym zapachem łąk i lasów”². Liczby, które przytacza prof. Bogucka, wskazują wyraźnie, że przy ogólnym poziomie urbanizacji zbliżonym do zachodnioeuropejskiego I Rzeczpospolita cierpiała na deficyt prawdziwie silnych organizmów miejskich. Największe jej miasta – Gdańsk, a z czasem Warszawa – ledwo przekraczały 100 tys. mieszkańców, a większość polskich „mieszczan” żyła w raczej małych miasteczkach. Ponadto zdecydowana większość lokacji miast miała charakter prywatny. Ten bagaż historii ciąży nam w pewnym sensie do dzisiaj. Oto znów jesteśmy tu i teraz, w polskich miastach pierwszych dekad XXI wieku.

Stoimy przed nowym wyzwaniem, ale i szansą

Wyzwanie ma przede wszystkim wymiar demograficzny. Według danych z rządowego raportu „Polska 2030. Wyzwania rozwojowe” czekają nas wkrótce poważne zmiany – o ile w roku 2009 na 1 osobę w wieku poprodukcyjnym przypadało 2,6 osoby potencjalnie produktywnej, to w 2030 roku może to być już mniej niż 1,5 osoby³, a w kolejnych dekadach będzie tylko gorzej. Spadająca dzietność i depopulacja Polski w połączeniu ze wzrostem oczekiwanej długości życia (co samo w sobie jest oczywiście zjawiskiem pozytywnym) stawia nas w niezwykle trudnym położeniu. Jeśli dodamy do tego bowiem rosnącą skalę migracji na wieś, a także dane statystyczne, z których wynika, że jesteśmy relatywnie słabo zurbanizowanym krajem (61% ludności żyjącej w miastach, przy 76% dla krajów Europy Zachodniej i 72% dla całej Europy)⁴, to rodzi się pytanie o poziom życia owych tysięcy ludzi, którzy dzisiaj migrują z miast do podmiejskich osiedli domków jednorodzinnych. Wiek emerytalny zapewne znacząco się podniesie, ale barierą może okazać się transport – jak ludzie niezdolni już może do prowadzenia samochodu, ale wciąż aktywni zawodowo, będą mogli dostawać się do swoich miejsc pracy?

Dochodzi do tego szereg problemów czysto ekonomicznych. Nie sposób odciąć się od procesów globalizacji, które m.in. spowodowały wzrost znaczenia miast do rozmiarów nieznanymi w historii. Dzisiejsza gospodarka jest w coraz większym stopniu skoncentrowana przestrzennie i kapitałowo, jej symbolem jest zaś las wieżowców nowojorskiego Manhattanu, ale także wielu nowych, globalnych metropolii. Miasta tego pokroju w związku z tym mają już dzisiaj większe znaczenie niż niejedyn kraj. A co tymczasem dzieje się u nas? Inwestujemy miliardy złotych i unijnych euro w budowę nowej infrastruktury, którą za dekadę czy kilka dekad będziemy musieli wciąż utrzymywać. Infrastruktury, która – dodajmy – w znacznej mierze ma wręcz antyrozwojowy charakter, weźmy tu chociaż wielopasmowe drogi, które mają w założeniu rozwiązać problem korków przy wjeździe do dużych miast, a tymczasem generują większy ruch i zachęcają kolejnych mieszkańców do ucieczki z miasta. Duże polskie miasta zapełniają się nowymi biurami i blokami, a jednocześnie kurczą w aspekcie ludnościowym.

Nie sposób także pominąć i tych wyzwań, które wydają się odległe, ale które mogą w każdej chwili zapukać do naszych drzwi. W szczególności dotyczy to postępujących zmian klimatu, wojen, terroryzmu i milionowych migracji z najbardziej niebezpiecznych rejonów globu. Tematy te na co dzień nie poruszają opinii publicznej nad Wisłą w takim samym stopniu jak lokalizacja pomnika smoleńskiego czy dekomunizacja ulic. Nie oznacza to jednak, że możemy udawać w nieskończoność, że sprawy te toczą się poza nami. Mamy zatem całą paletę bliższych i dalszych problemów. A gdzie obiecana szansa?

Cała nadzieja w miastach

Jeśli Polska ma skutecznie reagować na nadchodzące trudności, jeśli ma się jako kraj rozwijać społecznie, cywilizacyjnie i ekonomicznie, to droga do tego wiedzie wyłącznie przez silne, dynamiczne

i nowoczesne miasta. Zapewniają one bowiem potencjał transformacyjny wystarczający do radzenia sobie z wyzwaniami globalizacji. Miasta są rozwiązaniem, a nie tylko źródłem problemów, jak sądzą niektórzy. Zdaniem zmarłego wiosną 2017 roku filozofa i politologa Benjamin R. Barbera tylko metropolie mogą poradzić sobie z globalnymi obciążeniami, wypełniając próżnię, która powstała, gdy państwa utraciły zdolność przewyższania poważnych politycznych przeciwności. Twierdził on w związku z tym, że to burmistrzowie powinni ponad głowami rządów stworzyć ponadnarodową sieć służącą radzeniu sobie z wyzwaniami współczesności⁵.

Uruchomienie energii, która drzemie w ośrodkach miejskich, wymaga w naszym wypadku fundamentalnej zmiany podejścia. Niezależnie jak krytyczni jesteśmy wobec rzeczywistości polskich miast, musimy nauczyć się patrzeć na nie inaczej, dostrzegać raczej szklankę do połowy pełną niż pustą, nawet jeśli czasem „pełna” będzie tak naprawdę tylko w jednej trzeciej albo jednej czwartej. Tylko taki sposób widzenia pozwoli nam wykrzesać energię, która uruchomi pozytywne procesy. Miasto to przede wszystkim ludzie, a zatem potrzeba nam zaangażowanych mieszkańców, którzy tchną w nie swoją osobistą wiarę, że może to być miejsce dobre dla ich życia i życia ich rodzin. Nie sposób wyobrazić sobie przecież, by kosztem satysfakcji i własnego, subiektywnie widzianego szczęścia, w imię wyższych celów (być może motywowani alarmującymi raportami rządowymi) niedawni i nowi mieszkańcy zdecydowali się dać miastom kolejną szansę. Jeśli jednak uda się je uczynić bardziej przyjaznymi do życia, a w efekcie atrakcyjniejszymi i zatrzymać ucieczkę na przedmieścia, to stanie się to tylko dzięki sile optymizmu i płomyckowi nadziei w tym, co wydaje się beznadziejne.

Pewne fakty świadczą na korzyść miast. Weźmy choćby problem smogu, który kojarzy się właśnie z większymi aglomeracjami i od kilku lat coraz mocniej przebija się do świadomości. Zanieczyszczenie powietrza sprawia, że wszystko ogarnia szara zasłona, i wielu

z nas myśli zapewne tylko o tym, jakby tu uciec na łono natury, gdzieś na wieś. Paradoksalnie jednak tylko zwarta tkanka miejska daje szansę uporania się z tym zjawiskiem. Smog bierze się głównie z opalania marnej jakości węglem. W przypadku rozproszonej zabudowy nie sposób wyobrazić sobie podpięcie wszystkich domów do sieci ciepłowniczej albo wprowadzenie ogrzewania gazowego we wszystkich domach w danej okolicy, a tylko to mogłoby przynieść odczuwalną zmianę. Znacznie łatwiej o takie działania w mieście, nie wspominając już nawet o kwestii egzekwowania podstawowych norm, jak zakaz palenia śmieci. Nie jest zatem przypadkiem, że to w miastach zrodziły się pierwsze alarmy smogowe i że to mieszkańcy miast najsilniej (a także – dodajmy – coraz skuteczniej) upominają się dziś o jakość powietrza. Wszystko zaczyna się jednak od dostrzeżenia potencjału, jaki posiada miasto.

Niezwykły kunszt w sztuce czytania „miasta na plus” osiągnął Charles Montgomery, nawet w najgorszym *urban sprawl* potrafi on znaleźć pozytywne przykłady, zaczyni zmian, coś dobrego na dobry początek. W czasie wspólnych przechadzek po Krakowie i Warszawie, które odbyliśmy w trakcie jego krótkiego pobytu w Polsce, zachwyił mnie, a momentami wręcz zaszokował swoim pozytywnym spojrzeniem. Odczucia te były tym silniejsze, że zwiedzając w swoim życiu dziesiątki światowych metropolii, mógłby z łatwością umieścić nasze polskie miasta na jakiejś swojej prywatnej skali i na tym poprzestać. On tymczasem podchodzi do każdego z nowo poznanych miejsc z zaciekawieniem, a następnie nie zatrzymuje wzroku na tym, co najbardziej razi, jak czyni to większość z nas, ale szuka wszędzie dodatnich stron. Miasto przeżywane w ten sposób cieszy i tchnie optymizmem. Daje wiarę w możliwą zmianę. Każdy, kto czytał książkę, z pewnością przyzna, że te właśnie emocje wylewają się z kart „Miasta szczęśliwego”⁶: trzeba zacząć od czegoś dobrego, choćby nie wiem jak małego. Warto byśmy nauczyli się tego od Charlesa.

Myśląc już niemal dwa lata temu o książce, którą trzymasz w ręku, postanowiliśmy od początku zaproponować takie właśnie pozytywne podejście. *Miasto na plus* stanowi zbiór tekstów polskich autorów reprezentujących różne środowiska – samorządowców, urzędników, naukowców, aktywistów i zwykłych mieszkańców. Wszyscy oni są miłośnikami miast, zwiążali z nimi swoje życie na dobre i złe. O każdym z nich można powiedzieć, że patrzy na miasto krytycznie, ale równocześnie z wiarą i optymizmem, które są niezbędne, by uruchomić zmianę. Narzuciliśmy autorom właściwie tylko jedno ograniczenie – zakaz narzekania. Miasta potrzebują pozytywnego dyskursu i pozytywnych bohaterów, którzy swoją ciężką pracą i najdrobniejszymi nawet sukcesami dowodzą, że jest jeszcze nadzieja. Gdy je dobrze zliczyć, to okaże się, że sukcesy są wcale nierzadkie, wspomnę w tym miejscu tylko o licznych działaniach Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie, które pojedynczo może nie imponują, ale jako suma stwarzają nową, niewidzianą wcześniej jakość.

Potrzebujemy koniecznie kogoś, kto popchnie nasze miasta do przodu, będzie liderem, za którym pójda inni, kto będzie umiał przekonać wątpiących, by na nowo uwierzyli w życie miejskie i by – szukając wzorców – skierowali wzrok w stronę Kopenhagi raczej, a nie Detroit. Niezbędna jest także wiedza i wizja celu, do którego dążymy. Mówiąc krótko – potrzeba nam polskiego Gila Penalosy. Kto wie, może ktoś taki jest wśród autorów tekstów zebranych w niniejszej książce?

Moglibyśmy oczywiście zapisać całe tomy, wymieniając przegrane historie i zmarnowane szanse, wiele takich książek już zresztą wydano i nie można przecież odmówić ich autorom racji. Nie ma jednak mowy, byśmy uruchomili drzemiący w miastach potencjał, jeśli nie wesprzemy ich pozytywnym przekazem. Spróbujmy więc urzec mieszkańców wizją miasta szczęśliwszego niż dzisiaj (jeśli jeszcze nie w pełni miasta szczęśliwego), miasta na plus. Tylko w ten sposób uda nam się zbudować takie, z których nie będzie się chciało uciekać.



HUBERT MAZUR – absolwent studiów prawniczych na Wydziale Prawa i Administracji UJ, krakowianin z wyboru, pracownik samorządowy, zapalony rowerzysta i aktywista rowerowy, popularyzator rowerów towarowych. Redaktor polskich wydań książek *Miasto szczęśliwe* i *Walka o ulice*.

- 1 F. Springer, *13 pięter*, Wołowiec 2015.
- 2 M. Bogucka, *Miasto i mieszczanin w społeczeństwie Polski nowożytnej (xvi–xviii wiek)*, „Czaszy Nowożytne”, nr 22, 2009, s. 9–10.
- 3 M. Boni (red. naukowa), *Polska 2030. Wyzwania rozwojowe. Zespół Doradców Strategicznych Prezesa Rady Ministrów*, s. 69; raport aktualnie dostępny na stronach Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej pod adresem: https://www.mpips.gov.pl/gfx/mpips/userfiles/_public/1_NOWA%2OSTRONA/Aktualnosci/seniorzy/badania%2oaktywne%2oastarzenie/pl_2030_wyzwania_rozwojowe.pdf, dostęp 1.11.2017 r.
- 4 Tamże, s. 248.
- 5 B. Barber, *Gdyby burmistrzowie rządzili światem. Dysfunkcyjne kraje, rozkwitające miasta*, Warszawa 2014.
- 6 Ch. Montgomery, *Miasto szczęśliwe. Jak zmienić nasze życie, zmieniając nasze miasta*, Kraków 2015.



